



Villiers de l'Isle-Adam


# **EWA JUTRA**



Przełożył i posłowiem opatrzył  
Ryszard Engelking



Państwowy Instytut Wydawniczy



## SŁOWO WSTĘPNE

Uważam za właściwe i konieczne uprzedzić ewentualne nieporozumienia co do głównego bohatera tej książki.

Jak wszyscy dzisiaj wiedzą, sławny amerykański wynalazca, Mr. Edison, odkrył w ciągu ostatnich piętnastu lat szereg dziwnych i pomysłowych urządzeń – wśród nich Telefon, Fonograf, Mikrofon oraz godne najwyższego podziwu, znane już na całej powierzchni Ziemi – żarówki elektryczne; o setce pomniejszych cudów nie wspomnę.

W Ameryce, a także w Europie, wyobraźnia ludzka szybko zrodziła LEGENDĘ związaną z osobą tego wielkiego obywatela Stanów Zjednoczonych. Prześcigano się w nadawaniu mu fantastycznych przydomków: CZARNOKSIĘŻNIK STULECIA, CZARODZIEJ Z MENLO PARKU, PAPA FONOGRAFU itd., itp. Entuzjastyczny podziw – całkiem zresztą uzasadniony – sprawił, że dla wielu umysłów, tak w jego ojczyźnie, jak i w innych krajach, Edison nabrał cech maga.

Czyż ta LEGENDARNA POSTAĆ – nawet za życia człowieka, dzięki któremu się zrodziła – nie jest własnością literatury powszechnej? – Innymi słowy: gdyby doktor Johannes Faust żył w czasach Wolfganga Goethego

i gdyby właśnie wtedy ukształtowała się jego symboliczna legenda, czyż napisanie *Fausta* byłoby jakimkolwiek nadużyciem?

– A zatem EDISON przedstawiony w mej książce, jego charakter, język, poglądy i otoczenie są – bo być muszą – mniej lub bardziej odległe od rzeczywistości.

Niechaj będzie jasne, że interpretuję tu wyłącznie pewną nowoczesną legendę – stosownie do wymogów zamierzonego przeze mnie dzieła *Sztuki Metafizycznej* – że, krótko mówiąc, bohater tego utworu to przede wszystkim „czarodziej z Menlo Parku” – a nie współczesny nam pan inżynier Edison.

To wszystko, co chciałem powiedzieć.

VILLIERS DE L'ISLE-ADAM

Księga pierwsza

**MR. EDISON**

# I

## MENLO PARK

---

*Ogród podobny był pięknej kobiecie,  
Co, spoczywając rozkosznie uśpiona,  
Zamyka oczy na otwarte niebo.  
Lazurowe pola niebios miały  
Kształt klombu zdobnego kwiatami świateł.  
Okrągłe iskry rosy, migoczące  
Na szafirowych płatkach irysów, były jak  
Gwiazdy błyszczące w błękicie wieczoru.*

GILES FLETCHER

O dwadzieścia pięć mil od Nowego Jorku, tam skąd rozchodzą się druty elektryczne, ujrzyć można pałacyk pośród rozległych, opuszczonych ogrodów. Frontem zwrócony jest na przecięty piaskowymi ścieżkami okazały trawnik, biegnący w stronę wielkiego, samotnego pawilonu, na który od zachodu i południa rzucają wyniosłe cienie wiekowe drzewa dwóch długich alei. Ta posiadłość to numer 1 w miasteczku Menlo Park. – Mieszka tu Tomasz Alva Edison, człowiek, który uwięził echo.

Edison jest mężczyzną czterdziestodwuletnim. Przed kilku laty jego twarz uderzająco przypominała rysy znakomitego Francuza, Gustawa Dorégo. Jakby fizjonomię artysty *przetłumaczono* na oblicze uczonego. Uzdolnienia pokrewne, lecz odmiennie wykorzystane. Zagadkowi bliźniacy! Ciekawe, w jakim wieku byli po-

dobni jak dwie krople wody? Może nigdy. Ich ówczesne fotografie, oglądane w stereoskopie, każą przypuszczać, że pewne oblicza ras wyższych urzeczywistniają się w pełni jedynie jako suma rozszianego po świecie bilonu.

Twarz Edisona, porównana ze starymi sztychami, okazuje się żywą kopią syrakuskiego medalu, który przedstawia Archimedesesa.

Otóż pewnego wieczora jednej z ostatnich jesieni, koło godziny piątej, wspaniały wynalazca tyłu różnych cudów, czarodziej ucha – bo ten, niemal głuchy, Beethoven Nauki umiał stworzyć na swój użytek niedostrzegalny aparacik, który, umieszczony w jamie bębenkowej, nie tylko niweczy głuchotę, ale nawet wyostrza zmysł słuchu – słowem, Edison skrył się w zaciszu prywatnej pracowni, położonej w owym sąsiadującym z pałacem pawilonie.

Owego wieczora zwolnił swych pięciu akolitów – kierowników warsztatów, pracowników oddanych, wykształconych i zręcznych, których wynagradzał po królewsku i których milczenia mógł być pewny. Siedział, skrzyżowawszy nogi, w swym amerykańskim krześle na biegunach, samotny, owinięty w legendarny już luźny strój z czarnego jedwabiu z wrzosowymi chwastami, wsparty na łokciu, z hawańskim cygarem w ustach – choć palił z rzadka, jako że tytoń najbardziej nawet stanowcze zamiary obraca w marzenia – ze wzrokiem martwym i roztargnionym, najwyraźniej pogrążony w głębokiej medytacji.

Z prawej strony miał wysokie, wychodzące na zachód, szeroko otwarte okno: wietrzył swe pandemonium, na wypełniających je przedmiotach leżała czerwonożłota mgła.

Tu i tam rysowały się stłoczone na stołach precyzyjne przyrządy pomiarowe, zębatki o niewiadomym

przeznaczeniu, jakieś urządzenia elektryczne, teleskopy, projektory, wielkie magnesy, retorty ze sterczącymi rurkami, butle wypełnione zagadkowymi cieczami, pokryte obliczeniami tabliczki.

Niewidoczne, zachodzące już słońce, dziurawiąc ostatnimi blaskami i promieniami dalekie ściany listowia na porośłych klonami i jodłą pagórkach New Jersey, od czasu do czasu rozświetlało salę nagłym rozbłyskiem lub plamą purpury. Gdzieś tam krwawiły wówczas krawędzie metali, ścianki kryształów, okrągłości stosów elektrycznych.

Ochłodziło się. Popołudniowa burza rozpulchniła parkową murawę, obmyła ciężkie i upojne kwiaty Azji, rozkwitające w zielonych skrzyniach pod oknem. Naelektryzowane gorącym zioła, zwisające z belek na przemian z wielokrażkami, pachniały wspomnieniem dawnego, leśnego życia. Pod nieuchwytnym wpływem otoczenia myśli zadumanego inżyniera – zwykle jasne i lotne – leniwiwały, ulegając z wolna uwodzicielskim powabom marzenia i zmierzchu.

## II

### PHONOGRAPH'S PAPA

---

*„To on!... To on – krzyknąłem w ciemności,  
szeroko otwierając oczy – to Piaskun!...”*

HOFFMANN, *Opowieści nocne*

Choć jego twarz o siwiejących skroniach zdaje się twarzą wiecznego dziecka, Edison jest Ziemiąninem ze szkoły sceptycznej. Twierdzi, że jego odkrycia powstają same przez się, tak jak rośnie zboże.

Chłodny i pomny swych trudnych początków, nosi drogo okupiony uśmiech tych, co samą swą obecnością mówią bliźniemu: „Stań się – jam jest”. Pozytywista, nie uznaje najatrakcyjniejszych nawet teorii, dopóki nie potwierdzą ich fakty. Na wskroś „humanitarny”, bardziej pyszni się swą pracowitością niżli geniuszem. Bystry jednakże nad wyraz, porównując się z innymi, traci nadzieję, że ktoś go kiedyś oszuka. Ma nieszkodliwą manię: przez dziwną, choć uprawnioną próżność uważa się za IGNORANTA.

Stąd jego przystępność i bezpośredniość, a także zasłona szorstkiej szczerości – czasem może nadto poufałej – za którą kryje istny lód swych myśli. Człowiek niewątpliwie genialny, zaszczycony niegdyś ubóstwem, jednym rzutem oka ocenia każdego Ziemianina, który doń zagada. Potrafi co do karata oszacować jego wartość i uczciwość, z matematyczną wprost dokładnością określić stopień prawdomówności i przeniknąć ukryte motywy podziwu. Wszystko absolutnie bez wiedzy interlokutora.

Wielki elektryk uważa, że skoro pokazał, na jakie wyczyny stać jego zdrowy rozsądek, zdobył prawo do żartów, także z samego siebie, podczas prywatnych medytacji. Wtedy to, jak nóż na brusie, ostrzy swą scjencyficzną myśl na bezlitosnych sarkazmach, a skry lecą aż na jego odkrycia. Całkiem jakby ostrzeliwał swe pułki, ale on przyzwyczajają je tylko do huku dział: zwykle nabija samym prochem.

Tak więc Edison, świadoma ofiara czarów owego przejmującego wieczora, spragniony rekreacji smakował spokojnie wonny dym cygara, poddając się bezwolnie urokom poezji i samotności – bezcennej samotności, której tak obawiają się głupcy.



A nawet, niczym zwykły śmiertelnik, pozwalał sobie, dla odprężenia, na różne myśli dość fantastyczne i dziwaczne.

### III

#### LAMENTACJE EDISONA

---

*Każdy smutek jest tylko  
ograniczeniem siebie.*

SPINOZA

Monologował cichym głosem:

„Jakże późno zjawiłem się między Ludźmi! Czemuż nie było mnie wśród protoplastów naszego gatunku!... Co za piękną kolekcję skrzydlatych słów mielibyśmy dziś wyrytą *ne varietur* (sic) – najwierniej! – na folii mojego walca, którego  *cudowne wprost ulepszenia pozwalają teraz łowić fale dźwiękowe na odległość!*... A przy tym, wszystkie te słowa zostałyby zapisane z zachowaniem brzmienia, tonu, oryginalnego akcentu, a nawet wad wymowy wypowiadających.

Nie pretenduję do zdobycia galwanoplastycznej kopii formuły *fiat lux!* – wypowiedzianej, jak się zdaje, blisko siedemdziesiąt dwa wieki temu (która to formuła, autentyczna czy też zmyślona, jako przedwieczny precedens, wymyka się wszelkiej fonografii) – ale na przykład mogłoby mi się udać – schowanemu za jakimś rajskim krzakiem, zaraz po śmierci Lilith, podczas wdowieństwa Adama – podsłuchać i nagrać najpierw podniosłe solo: *Niedobrze być człowiekowi samemu!*... następnie *Eritis sicut dii!*... potem *Róście i mnożcie się!*... i na koniec ponury żart Elohima: *Oto Adam stał*



się jako jeden z nas... Później, kiedy tajemnica mojej drgającej płytki stałaby się już własnością publiczną, czyż moim następcom nie sprawiłoby radości nagranie, w pełnym rozkwicie pogaństwa, na przykład sławnych: *Najpiękniejszej!*... i *Quos ego!*..., słów wyroczni w Dodonie, melopei Sybilli... i tak dalej. Wszystkie ważniejsze wypowiedzi Człowieka i Bogów od samego początku dziejów zostałyby kolejno wygrawerowane, tworząc niezniszczalne dźwiękowe archiwum z miedzi; wtedy nikt nie mógłby nigdy podać w wątpliwość ich autentyczności.

A spośród przeszłych *dźwięków* ileż tajemniczych odgłosów, słyszalnych dla naszych przodków, bezpowrotnie zapadło w nicość z braku aparatu zdolnego je zarejestrować?... – Bo któż w samej rzeczy ma dziś jakiegokolwiek pojęcie o – na przykład – *Dźwięku trąb jerychońskich?*... *Ryku byka z brązu*, zabawki Falarisa?... o *Śmiechu augurów?*... czy o *Porannych skargach Memnona?*... itd.

Umarłe głosy, utracone dźwięki, zapomniane hałasy, vibracje ginące w otchłani, zbyt już odległe, by je schwytać!... Jakaż strzała dosięgłaby te ptaki?!”

Edison dotknął leniwie porcelanowego przycisku w ścianie. Oślepiająco błękitny promień, zdolny porazić spore stado słońi, wystrzelił ze starego ogniwa faradycznego, stojącego o kilka kroków od krzesła, i przeciął unicestwiająco błyskawicą blok kryształu – po czym zniknął w tej samej stutysięcznej części sekundy.

„Taaak – ciągnął flegmatycznie wielki mechanik – posiadłem wprawdzie tę iskrę... która ma się do dźwięku, jak młoda charcica do żółwia: w otchłani mogłaby śmiało dać fory tym starym ziemskim vibracjom – co najmniej z pięćdziesiąt stuleci. Ale po jakim drucie, po jakim śladzie wysłać ją za nimi? I jak nauczyć ją apor-



tować, kiedy już je schwyta, przynosić je posłusznie do ucha ich łowcy?... Tym razem problem nie wydaje się, prawdę mówiąc, rozwiązalny”.

Dotknięciem małego palca Edison melancholijnie strącił popiół z cygara; chwilę milczał, a potem wstał z krzesła, nie bez uśmiechu na twarzy, i zaczął przechadzać się po pracowni.

„Pomyśleć – wywodził dalej – że po z górą sześciu tysiącach lat dotkliwego braku czegoś takiego jak Fonograf nowoczesny indyferentyzm przywitał mój pierwszy model kpinami!... «Dziesięć zabawka!» – mruzcili ludzie. Wiem oczywiście, że kiedy poczują się czymś zaskoczeni, żart ich uspokaja, daje im ochłonąć... Ale na ich miejscu, jeśli już pozwoliłbym sobie na kalambury, to przynajmniej starałbym się wymyślić coś lepszej próby niż te gminne dowcipy, którymi nie wstydziłem się mnie obrzucić.

Wytknąłbym na przykład Fonografowi, że – jeśli idzie o *dźwięki* – nie potrafi oddać ani *huku*, z jakim upadło... Cesarstwo Rzymskie, ani tego, jak *huczy* od plotek, ani nawet *wymownego milczenia*... Zarzuciłbym mu, że – w zakresie *głosów* – nie odtwarza ani głosu sumienia, ani głosu krwi, ani słów *przypisywanych* wielkim ludziom, ani *niedopowiedzeń*, ani nawet *tabędziego śpiewu*. A *Głos Panny*? A *Warkot Bereniki*? – Dość, posuwam się za daleko! – Bo też, rzeczywiście, aby zadowolić moich bliźnich, będę chyba musiał wynaleźć aparat, który powtarzałby słowa, zanim zostaną wypowiedziane. Albo taki, co na «Dzień dobry panu» jakiegoś eksperymentatora odpowie: «Dzień dobry, jak się pan miewa?», a kiedy jakiś próżniak kichnie na sali, zawoła: «Sto lat!» albo: «Daj Boże zdrowie!».

Zadziwiający są ci ludzie!

Przyznaję, że moje pierwsze Fonografy miały głos niczym Sumienie przemawiające z pieszczkiem Poliszynela w ustach, ale – u diabła! – zamiast oceniać naprędce, można było przecież poczekać, aż Postęp je wydoskonali, podobnie jak przekształcił we współczesne odbitki fotochromiczne i heliotypiczne pierwsze płytki Nicefora Niepce’a i Daguerre’a.

No i dobrze! Skoro mania nieufności do moich wynalazków jest nieuleczalna, to na razie zatrzymam w tajemnicy zaskakujące, radykalne usprawnienie, do którego właśnie doszedłem... a które ukryłem pod ziemią! – dorzucił, lekko tupnąwszy. – Stopniowo wyprzedam wszystkie stare fonografy, co przyniesie mi pięć do sześciu milionów. – Jeśli już mamy się śmiać, będę się śmiał ostatni!”

Przystanął, myślał jeszcze chwilę i, wzruszając ramionami, podsumował:

„Ludzka głupota ma w końcu i dobre strony. – Dość tych jałowych żartów”.

Nagle tuż obok rozległ się dźwięczny szept; przyciszony głos młodej kobiety pytał:

– Edison?

## IV

### SOWANA

---

*Jak dziwić się czemukolwiek?*

STOICY

Poza nim w pracowni nie było nikogo.

Przeszedł go dreszcz.

– To ty, Sowano? – powiedział głośno.